

Wolna prasa, wolność słowa, wolność handlu

25 sierpnia 2018

Wszyscy, którzy otarli się o dziennikarstwo wielokrotnie słyszeli dowcip, a może raczej informację, że pogryzienie listonosza przez psa nie jest żadną wiadomością, ale pogryzienie psa przez listonosza – to dopiero jest wiadomość. Szefowie redakcji opowiadają ten dowcip częściej i śmieją się głośniej. O tym, że informacja jest towarem, pisało już wielu, pytanie, czy niewidzialna ręka działa również na rynku obrotu słowami?

Przez lata zajmowałem się badaniem jak niewidzialna ręka jest neutralizowana na rynku towarów rolnych i badaniem reform, które pozwalały na włączenie producentów żywności do rynku wolnego od elementów przymusu. Ideału nie ma, ale są miejsca na świecie, gdzie niewidzialna ręka rynku działa niemal sprawnie i są miejsca, gdzie jej działanie jest iluzoryczne.

Arthur W. Lewis, jak dotychczas jedyny czarny laureat nagrody Nobla w ekonomii, poświęcił życie poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, dlaczego rynkowe reformy ekonomiczne w niektórych krajach są tak trudne do wprowadzenia. Jeden czynnik wydawał mu się ważniejszy od wielu innych – ziemiaństwo. Tam, gdzie jest silna warstwa właścicieli ziemskich, produkcja rolna oparta jest na jawnej lub ukrytej pracy przymusowej i cały system wymiany towarów i usług jest wykolejony. Co więcej, kraje, w których produkcja rolna oparta jest na pracy przymusowej, silnie wpływają na międzynarodowy handel, oferując po dumpingowych cenach towary kradzione, co niesłychanie komplikuje działanie niewidzialnej ręki rynku w krajach, które przeprowadziły reformy umożliwiające swobodną konkurencję i gdzie wygrywa ten, kto produkuje wydajniej, dostarczając towary lepsze i tańsze.

Zajmowałem się tymi problemami w czasach Gierka, kiedy polska szynka zalała zachodnie rynki, a polscy ekonomiści nie ukrywali, że mają nadzieję, iż sprzedaż polskiej żywności na rynkach międzynarodowych sfinansuje szybkie przyspieszenie rozwoju polskiego przemysłu. Żywności na rynku krajowym było coraz mniej, rolnicy mieli więcej pieniędzy, ale częściej inwestowali je w budowę domów i kupno ziemi, niż w sprzęt rolniczy i modernizację produkcji. Ten dziwny fenomen wynikał z faktu, że krajowy przemysł nie reagował na potrzeby tego klienta i nie interesował się jego pieniędzmi. Żywności było coraz mniej, ceny trzeba było podnosić, robotnicy strajkowali, władze ze strachu stale podnosiły ich wynagrodzenie za coraz mniej wydajną produkcję, rolnicy nie mieli szans na radykalny wzrost produkcji, socjalizm kwitł, przekwitł i usechł.

W socjalizmie wolnej prasy nie było, chociaż w miarę przekwitania systemu rozrastał się drugi obieg, który oferował informację o tym, że coraz więcej mieszkańców Polski chciałoby, żeby było inaczej oraz że kapitalizm może dostarczać ludziom więcej żywności i więcej wolności. Kapitalistyczna rewolucja obiecywała również wolność słowa, ale to raczej cieszyło robotników słowa, podczas gdy producenci żywności częściej żywili nadzieję na prawdziwą wymianę towarów z producentami towarów przemysłowych. (W okresie upadania socjalizmu jedni i drudzy zajmowali się pokątnym handlem obwoźnym).

Nadzieje na kapitalistyczny cud były przesadne, wiedza o tym jak tu zorganizować obrót towarami, żeby nie utrudniać życia niewidzialnej ręce rynku, z natury rzeczy była skromna (wcześniej niewidzialna ręka rynku odwiedzała Polskę równie często jak Matka Boska, czyli nigdy).

W Związku Radzieckim pojawił się nowy przywódca, który chciał zorganizować głośność i pierestrojkę, czyli uwolnić i słowo, i handel innymi towarami równocześnie. Dość poprawnie doszedł do wniosku, że trzeba zacząć od własności ziemi i handlu

żywnością. Szybko okazało się, że władarze upaństwowionej ziemi na takie reformy zgody nie dają. Nowy przywódca stracił posadę, została głośność, a pierestrojkaowszem dokonywała się, ale z kategorycznym zakazem wstępu dla niewidzialnej ręki rynku.

Pisałem niegdyś o tym, że w Japonii, Korei Południowej, na Tajwanie umiarkowanie sympatyczni władcy zarządzili, że najpierw musi działać niewidzialna ręka rynku, a o wolności słowa pogadamy później. (Chińczycy postanowili pójść tą samą drogą i do wolności słowa do dziś jakoś nie dotarli; ich reformy gospodarcze też były dalekie od doskonałości, ale jakby skuteczniejsze, niż u rosyjskich sąsiadów.) Jedno wydaje się pewne, że dobre rady tych, którzy byli na innym etapie rozwoju, nie zawsze okazywały się tak dobre, jak mogło by się wydawać.

W procesie przechodzenia od komunizmu do kapitalizmu pierestrojka wychodziła w różnych krajach różnie, tak całkiem zadowolonych nie znaleziono nigdzie, chociaż właściwie wszędzie dokonał się znaczący skok cywilizacyjny. Z głośnością poszło jakby lepiej, a przynajmniej mniej było powodów do narzekań i zdecydowanie mniej niezadowolonych.

Podobnie jak w kwestii reform gospodarczych, również w sprawie wolności słowa korzystaliśmy z porad i doświadczeń tych, którzy nas na drodze do kapitalizmu zdystansowali, tu jednak mając jakby większą pewność siebie, bo wolność słowa albo jest, albo jej nie ma i nie bardzo jest o czym dyskutować. Owszem kopano się trochę o władzę nad telewizją, bo pamiętając o niedawnym centralnym sterowaniu informacją, zasadnie obawiano się zakusów na tę część środków masowego przekazu, która oddziałuje najsilniej, czyli jest poniekąd chlebem powszednim.

Kiedy piszemy o oddziaływaniu mediów – zazwyczaj wprost lub w domyśle pojawia się sugestia, że informacja zmieszana jest z dezinformacją, a powodów tego fenomenu może być kilka; po

pierwsze, władza szuka poparcia i do informacji dodawane są półprawdy i kłamstwa korzystne dla władzy (podobne motywy mogą kierować opozycją, która w celu zdobycia poparcia wyborców może czasem oszczędnie posługiwać się prawdą), po drugie, konglomeraty medialne są w systemie kapitalistycznym przedsiębiorstwami, które są zorientowane na zysk i w pogoni za zyskiem przedkładają sensację nad rzetelnością, po trzecie niemal wszystkie media mają powiązania z konkretnymi środowiskami politycznymi, a ideologia często popycha w kierunku politycznej ewangelizacji, po czwarte wreszcie, media mają ogromnie wysoki poziom tolerancji dla nierzetelności, informacje prasowe są często pospiesznie powielane z innych mediów, bez sprawdzania i bez wymogu, żeby dziennikarz posiadał fachową wiedzę w dziedzinie, o której ma informować.

Reputacja jest zasobem, nic dziwnego, że na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, kiedy nowe techniki druku i nowe formy mediów spowodowały kryzys tradycyjnej prasy, cieszące się dobrą reputacją tytuły przeszły w ręce magnatów prasowych dążących do maksymalizacji zysku. Tabloidyzacja renomowanej prasy dokonywała się błyskawicznie, a gazety, które nie zostały wykupione przez magnatów prasowych, musiały się albo dostosować, albo przegrywały konkurencję.

Mark Twain mówił: „Zdobądź najpierw fakty, a zniekształć je sobie później”. Dotarcie do faktów bywa raz łatwiejsze raz trudniejsze, czasem można je nawet wyłuskać z sugerowanej przez renomowaną gazetę gotowej opinii. Bardzo ciekawy przykład dziennikarstwa produkowanego przez dziennikarzy przekonanych, że trzeba dostarczyć informacji o pogryzieniu psa przez listonosza serwował niedawno cieszący się doskonałą reputacją „New York Times”, który – prosząc o przedłużenie subskrypcji – reklamuje się jako gazeta oferująca dziennikarstwo najlepsze z najlepszych.

Wiadomość, że policja aresztowała człowieka poszukiwanego w związku z podejrzeniami o morderstwo nie jest właściwie żadną

wiadomością, ale wiadomość o aresztowaniu imigranta wiozącego żonę do szpitala na poród, to wiadomość, która każdemu powinna podnieść ciśnienie.

„New York Times” 19 sierpnia 2018 donosił: „Policja imigracyjna zatrzymała człowieka, który wioził ciężarną żonę do szpitala”. Z pierwszych słów sporządzonego przez dwóch autorów doniesienia dowiadujemy się, że pewien człowiek wioził żonę do szpitala, kiedy policja imigracyjna aresztowała go, pozwalając żonie na samotną jazdę do szpitala, gdzie była umówiona na cesarskie cięcie. W drugim akapicie dramat rośnie i dowiadujemy się, że na stacji benzynowej policja podeszła do ich samochodu i zażądała dokumentów. Mąż ciężarnej nie miał prawa jazdy przy sobie i został aresztowany.

„New York Times” wprowadza czytelnika w wielką politykę i informuje, że to aresztowanie wywołało oburzenie, ponieważ antyimigracyjna polityka Trumpa spowodowała rozszerzenie uprawnień policji i imigranci są aresztowani, kiedy dostarczają pizzę lub pomagają komuś w ogrodzie.

Teraz dopiero dowiadujemy się o oświadczeniu policji, że aresztowany przebywa w USA nielegalnie, a w Meksyku jest poszukiwany w związku z podejrzeniem o morderstwo. Dziennikarze NYT nie twierdzą, że jest inaczej, ani że cokolwiek samodzielnie sprawdzali; informują, że reprezentujący aresztowanego przedstawiciel jakiejś organizacji zapewnił ich, że Meksykanin nie ma kryminalnej przeszłości, a w Meksyku też nie znalazł jego nazwiska w kartotekach osób poszukiwanych. Z samą policją, jak można wnosić z doniesienia, nie kontaktowano się; gazeta wyraża oburzenie, że policja aresztowała człowieka nie zważając na stan zdrowia jego żony i dziecka, które przyszło na świat już po aresztowaniu ojca.

Zapewne artykuł z „New York Timesa” mógłby służyć jako materiał pomocniczy dla studentów dziennikarstwa, by wiedzieli, jak pisać nie należy i nie sugerowali się nawet

najdoskonalszą reputacją tego, czy innego medium. Prawdopodobnie jestem niepoprawnym optymistą, bo właśnie zobaczyłem następujące doniesienie:

To zrzut ekranu ze strony Gazeta.pl z 23.08.2018 r.

Wszystko wskazuje na to, że nasi dziennikarze czerpią garściami z najlepszych wzorów, a niewidzialna ręka rynku nawet palcem nie kiwnie.

Autorstwo: Andrzej Koraszewski

Źródło: StudioOpinii.pl